

Howell Cavanaugh czekał na kuzyna na lotnisku w Belfaście z wielką niecierpliwością. Był ciekaw, jak będzie wyglądał; czy też będzie rudy, jak cała rodzina. Co prawda z Cavanaughami miał wspólną tylko matkę (to znaczy jego matka była z domu Cavanaugh), ale zawsze to jednak członek klanu... Choć nie do końca. Wreszcie się pojawił. Nie sprawił na Howellu najlepszego wrażenia – był tak pewny siebie i zarozumiały, że aż nie irlandzki. Wyglądał jak autentyczny Jankes: podarte jeansy, mocno poobcierana jeansowa kurtka, teksaski kapelusz z filcu, duże, brązowe oczy i wystrzyżone ciemne włosy... Całkowicie nieirlandzki. Zrobił na Howellu niesympatyczne wrażenie. Wsiadł do autobusu i pojechali kilkanaście przystanków.

– Paul, zaraz wysiadamy – powiedział Howell, biorąc jedną z toreb gościa.

– Wolałbym, żebyś mówił do mnie Jarvis.

– Dziwnie, po nazwisku? Jankes kiwnął głową. Howell nie mógł tego pojąć; od czego są imiona??? Wzruszył ramionami i przyjął do wiadomości, choć dobrze wiedział, że ani ojciec, ani mama, ani pewnie Crispin nie będą mówić do niego po nazwisku. Jemu, Howellowi, było wszystko jedno. Obiad był pyszny, najpyszniejszy, jaki kiedykolwiek jadł. Dlaczego mama nie gotowała tak dla rodziny? Rozmowa się nie kleiła, bo właściwie nikt nie miał nic ciekawego do powiedzenia. Ojciec milczał, jak zawsze przy obiedzie, Crispin wstydziła się odezwać przy obcym, a mama była zbyt zajęta, by cokolwiek mówić. Zresztą, Jarvis zdawał się być bardzo zmęczony.

– Paul będzie spał w pokoju Howella – zakomenderował przy deserze stary Cavanaugh.

– W porządku – młody nie zaprotestował, choć nie podobał mu się ten pomysł.

– Chodź. Pokażę ci, gdzie będziesz spał. Po krętych schodach weszli na piętro, gdzie było dwoje drzwi. Weszli w te po lewej stronie i znaleźli się w niedużym pokoiku, w którym pierwszą rzeczą, jaka rzucała się w oczy, był ogromny, wiszący na ścianie, plakat U2 z „Rattle & Hum”. Pod nim stało śmieszne, staromodne łóżko na krzywych nogach, spod których wystawały jakieś papiery. Naprzeciwko drzwi było średniej wielkości okno z firanką, sięgającą do parapetu. Na lewo od drzwi (czyli naprzeciwko łóżka) stało ogromne biurko, ukryte pod masą róż-

nych drobiazgów od kubka do spinacza do papieru. Na ścianie nad biurkiem były poprzypinane do tapety kolorowe papierki. Jankes podszedł do nich, by zobaczyć, co to w ogóle jest. Jego oczom ukazały się poprzyczepiane większe i mniejsze artykuły i wzmianki o U2, powycinane z najprzeróżniejszych czasopism i gazet.

– Nie wiedziałem, że muzyka rockowa dotarła nawet do Irlandii – bąknął złośliwie Jarvis. Howell patrzył na niego przez chwilę, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. W końcu załapał i równie złośliwie odparł: – Nie wiedziałem, że do Stanów nie dotarło, że U2 SA z Irlandii. Jarvis uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć „wygrałeś, punkt dla ciebie”.

– Rozpakuj się, tu masz miejsce na swoje rzeczy – Howell wskazał wolne półki w szafie. Poprzedniego dnia, na rozkaz ojca, musiał poprzekładać swoje kłamoty, by zwolnić te dwie półki. Najbardziej wkurzało go, że kiedy gość wyjedzie – będzie musiał wszystko z powrotem doprowadzić do poprzedniego stanu. Niepotrzebne zawracanie głowy. Ale cóż – Jarvis ma być traktowany jak królowa brytyjska...

– Fajnie. Mały ten wasz domek.

– Dla nas wystarcza, po co nam większy...

– Ja nie mam ojca, to znaczy mam, ale z nami nie mieszka, rozwiedli się, więc mieszkamy w trójkę, mama, siostra i ja, a mamy większy dom.

– Ale tu jest Irlandia i ludzie nie żyją ponad poziom, tylko po to, by innym to wytykać – zirytował się Howell.

– Coś ty taki przewrażliwiony? – Jestem podobny do ojca. Przy nim lepiej nie rzucaj takich uwag, bo on zareaguje o wiele ostrzej. Jego łatwo wyprowadzić z równowagi, więc uważaj na to, co mówisz, dobrze ci radzę.

– Brzmi nieco jak groźba. Howell wyjął coś małego i białego z szuflady biurka.

– Ostrzeżenie. Tu jest inaczej – Howell przerwał, włożył przed chwilą wyjęte coś do ust, chwycił zapalniczkę i przypalił – niż u was – ciągnął dalej, lubując się skrętem – lepiej, żebyś się do tego przystosował.

– Bo co? – Bo cię zniszczą. Wszyscy.

– Nie boję się kilku Irlandczyków. Howella zaczęła wkurzać ta rozmowa.

– Zdaje się, że masz się za niezmiernie mądrego.

– O tobie mogę powiedzieć to samo. Wyjaśnijmy sobie coś. To moja matka chciała, żebym poznał rodzinę, to ona chciała, żebym tu przyjechał, ja tak średnio... Pomyślałem jednak, że to mogłaby być niezła zabawa. Spróbujmy więc żyć jakoś nie wchodząc sobie w drogę, a wszystko będzie OK.

– To brzmi rozsądnie – zgodził się Howell. Wrócili do salonu.

– A teraz co? Rodzinne oglądanie telewizji?

– Jarvis ciągle był sarkastyczny.

– Wiesz, mam ochotę ci przyłożyć.

– Wal śmiało. Tu, prosto w twarz – Jankes wysunął głowę do przodu. Howell roześmiał się.

– Znam lepszą metodę.

– Skuteczna??? Wątpię...

– Wątp... Ale twoje „wątpy” nie zmieniłyby faktu, że nic by z ciebie nie zostało.

– Brzmi, jakbyś miał wysadzić mnie w powietrze.

– Owszem.

– Co ty możesz wiedzieć o bombach...

– Pewnie tyle samo, co cała IRA, to znaczy – nic... – roześmiał się Howell. Jarvis patrzył na niego przez moment badawczo.

– Ty, nie wygłupiaj się...

– Co, nie czujesz się już tak pewnie? Jankes wzruszył ramionami, a Howell pomyślał: „dwa-zero dla mnie”.

– Kochanie, pokaż naszemu gościowi miasto, Paul na pewno chciałby zobaczyć Belfast – przerwała kłótnię matka.

Cavanaugh zerknął na Jarvisa. Twarz chłopaka była nieodgadniona. Howellowi wydawało się, że Jarvis choć trochę zburzy codzienną rutynę, ale się zawiódł. Ojciec co prawda zrezygnował z wysyłania go do letniej roboty, ale cała reszta została po staremu. Nie, jedna zmiana zaszła: Howell dostał rozkaz wszędzie brać ze sobą siostrę, aż do jej wyjazdu do Londynu. To miało zacieśnić stosunki z Jarvisem. Jankes nie był zachwycony tym pomysłem, tym bardziej, że kiedy minęło pierwsze onieśmienie czternastolatki, okazała się ona być niezmiernie rozgadana dziewczyną, co chwilami doprowadzało gościa do granic wytrzymałości. Howell przyzwyczaił się już do nudnej gadatliwości Crispin, więc z satysfakcją patrzył na kwaśną minę Jankesa. Codzienne poobiednie spacerowały już całej trójce w nałóg i Howellowi wyda-

wało się, że lepiej by było pójść jednak do pracy, tam przynajmniej coś by się działo, a tak... Nawet z kumplami nie było kiedy się spotkać... To chyba dokuczało Irlandczykowi najbardziej.

Wieczorem Howell uprosił ojca, by puścił jego i Jarvisa do pubu. Prawdę mówiąc Jankes niewiele go obchodził, ale Irlandczyk doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że bez gościa nie miałby nawet co marzyć o wypadzie gdziekolwiek, nie mówiąc już o małej popijawie. Jedynym jego argumentem przeciw wszystkim możliwym ojcowym był fakt, że mógł poznać Jarvisa z innymi Irlandczykami. W końcu stary Cavanaugh uległ. Pub był zadymiony i kompletnie zatłoczony. Okrągły barek na środku sprawiał wrażenie, że knajpa była dużo większa, niż w rzeczywistości. Wszędzie kręcili się ludzie. Z jednego z rogów dobiegały dźwięki irlandzkiego folku; można było rozróżnić skrzypce, piszczałkę i bodhran. Ktoś nawet usiłował śpiewać, ale jego głos wskazywał na to, że robi to z podchmienienia, a nie talentu. Howell wiedział, że nie musi się rozglądać – jak tylko kumple go zauważą – zaczną go wołać. Nie omylił się – po chwili usłyszał gwizdy i chichy. Pociągnął Jarvisa w stronę czterech, nieźle już wciętych, dwudziestokilkulatków.

– Kim jest twój uroczy kolega? – zapytał rozczochrany blondyn.

– Kuzyn. Przyjechał ze Stanów. Nazywa się Jarvis.

– A imię jakieś ma? – indagował dalej blondyn.

– Ma, ale nie chce o nim nawet słyszeć.

Blondyn zarechotał.

– Jarvis – Howell popatrzył na Jankesa – ten radosny idiota to Tim, ten rudzielec, to Adam, a tamta pokraka – pokraka zachichotała radośnie, najwyraźniej nie obrażona – Willie, ale wołamy na niego Numbi.

– Dlaczego? – spytał Jarvis.

– Bo jest drętwy, kompletnie tępy facet, ale jak popije, to ho ho... Zresztą sam widzisz, jak wierzga...

– Nieźle towarzystwo – bąknął Jankes.

– Ty – Tim szturchnął Howella – co ten gościu taki nieruchawy? Poczucia humoru Bozia nie podarowała?

– Tłumacz się – Cavanaugh popatrzył na Jarvisa.

– Nie muszę się przed nikim tłumaczyć.

– Ojjoj!!! – wybuchnął śmiechem Adam – jaki dzielny!!! Co ty myślisz, knypku? Że jesteś taki mocny??? Lepszy od nas???

– Nie, po prostu nie sędzę, bym się musiał wam z czegoś tłumaczyć.

– Kretyn jesteś, my tu usiłujemy z tobą pogadać, zacząć jakoś kulturalnie rozmowę na poziomie, a ty zaraz taki wrogi. Wyluzuj się, bracie, wypij sobie piwko.

– Po pierwsze, nie jestem twoim bratem, po drugie – takiego świństwa nie będę pił.

– No co ty! – zareagował oburzeniem Numbi – Irlandczyk jesteś, czy nie!

– Nie. Jestem Amerykaninem i piję tylko jasne piwo.

– Mam pytanie – Adam drapieżnie nachylił się nad Jarvisem – piłeś kiedyś guinnessa?

– Nie, a bo co?

– To skąd wiesz, że to świństwo, he?

Na to Jankes odpowiedzi nie znalazł. Howell był wściekły. Rodzi na rodziną, ale mógłby ten palant nie kompromitować go przed kumplami. Numbi wstał. Chwiał się przez chwilę, a potem rzucił konspiracyjnym szeptem:

– Muszę się odlać, ale nie dojdę.

Irlandczycy wiedzieli, o co mu chodzi, więc Adam wstał, wziął go pod ramię i zaprowadził do toalety.

– Adam to nasz bohater – powiedział Tim, nachylając się do Jarvisa. – Jest w IRA. Wysadził już cztery puby. Nie sam, oczywiście, ale brał w tym czynny, lub bierny udział. To wielki człowiek. Jak Michael Collins. Rozumiesz...

– Nie – wtrącił Jankes – nie rozumiem. Tim patrzył na niego w zdumieniu, a Howell kręcił z dezaprobatą głową.

– Nie rozumiem – ciągnął niczym nie zrażony Jarvis – dlaczego to bohater? Dla mnie – to zwykły bandzior. Cóż to za powód do dumy, wysadzać puby. To tylko mordowanie ludzi. – Twarz Cavanaugha coraz bardziej się chmurzyła – Czy nigdy nikt z was nie pomyślał, że zabijacie niewinnych ludzi?

– Ofiary muszą być.

– W imię czego? Cel uświęca środki? A gdyby ktoś tutaj podłożył bombę? Wszystkich nas by wymiotło. I po co? W imię czego?

– Nic nie rozumiesz – Tim kręcił zamroczoną alkoholem głową. – Nic nie rozumiesz. Co z ciebie za Irlandczyk!

- Nie jestem Irlandczykiem! Jestem Amerykaninem!
- Jesteś Irlandczykiem – upierał się Tim – Irlandczykiem i już!
- Pijany jesteś.
- Jestem – przyznał z zadowoleniem Tim – ale swoje wiem.

Wrócił Adam z ledwo przytomnym Numbim.

– Jemu niewiele potrzeba – stwierdził, sadzając kompletnie zalanego przyjaciela na ławie.

– Adam, ten facet bez imienia – Tim wskazał Jarvisa – twierdzi, że jesteście mordercą!

IRAkijczyk rzucił Jankesowi jedno krótkie spojrzenie. Howell pomyślał, że nie chciałby poczuć tego wzroku na swojej twarzy; Adam był o wiele mniej pijany, niż powinien być po wypiciu takiej ilości piwa i jego wzrok pozostał przeszywający i mrozący krew w żyłach. Howell podziwiał Adama. Członek IRA, wiedzący wszystko o bombach, nigdy nie złapany przez brytyjskie władze, był bohaterem połowy „młodociąnego” Belfastu. Londyn znał skutki jego działalności, nie znał jednak ani jego twarzy, ani nazwiska. I od katolickiego Belfastu na pewno się tego nie dowie...

- Zbieramy się – rzucił Adam.
- Dochodzi jedenasta.
- No to co? – spytał Jarvis.
- Człowieku bez imienia – Timowi najwyraźniej bardzo podobało się to określenie – widzę, że nie znasz najlepiej brytyjskich praw.
- Co do tego ma prawo?
- Otóż prawo nakazuje zamknąć pub o jedenastej i kropka.
- Głupie prawo.
- O! Widzisz! Wreszcie się zgadzamy!
- Oprzyj się lepiej o coś, bo się przewrócisz.
- Przewrócisz. Jakiego słownictwa on używa! Tu się mówi „wyrzniesz”.
- O.K. Wyrzniesz.
- Widzę, że wreszcie chwytasz.
- Jestem pojętnym dzidziusiem – Howell po raz pierwszy zobaczył uśmiech na twarzy Jarvisa.
- Cieszę się – Tim chciał potargać włosy Jankesa, ale ze względu na ich długość, a raczej jej brak, uwiesił się na jego ramieniu.
- Wracamy do domu – zakomenderował.

– Kto dziś bierze Numbiego? – spytał Howell.

– To chyba moja kolej – westchnął Adam.

– Świetnie – ucieszył się Howell.

Adam uśmiechnął się.

Przez całą drogę do domu Howell kątem oka przyglądał się Jarvisowi. Twarz Jankesa, jak zwykle, była nieodgadniona. Jedno było na niej jednak wyraźne – pogarda. Cavanaugh zastanawiał się, co się jego gościowi tak bardzo nie podobało. Nie miał żadnych obiekcji przed zapytaniem go o to:

– Co jest?

– He?

– Czyżby znowu ci coś nie odpowiadało? Wielkość pubu? U was są większe?

Jarvis prychnął.

– Nie. Nie o to chodzi.

– A o co?

– Po co ci będę tłumaczyć, skoro tego i tak nie zrozumiesz?

– Bo jestem za głupi?

– Dlaczego tobie się wydaje, że mam cię za skończonego idiotę?

– A co? Nie masz?

– Howell, może się nie rozumiemy, ale to nie znaczy, że uważam cię za gorszego. Po prostu nie rozumiem twojej kultury. I wysadzania ludzi w powietrze.

– A... O to chodzi...

– Nie mogę pojąć, dlaczego ten gość jest bohaterem... Moja mama pewnie podzieliłaby twoje zdanie, ale ja jestem produktem amerykańskim, a tam zamordowano dwóch wspaniałych prezydentów i nikt nie jest tym zachwycony. Dlaczego wysadzanie pubów jest wielkim bohaterstwem? Wy tłumacz mi to? Co wam daje zabijanie ludzi pijących piwo? Ma to jakiś wpływ na władze? Jeżeli myślisz, że ma, to się mylisz. Ich to nie obchodzi. Nigdy nie obchodziło. Żadna władza nie interesuje się tym, kim rządzi. Pospółstwo jest ważne, dopóki głośnie, potem można z nim zrobić, co się chce. Nic wam nie da wysadzanie pubów, bo nikogo, kogo chcecie zastraszyć, to nie obchodzi. A niewinni ludzie giną.

Howell milczał.

– A ja się z tobą i tak nie zgadzam – powiedział powoli.

– Nie wiesz, jak tu jest...

– Nie wiem, ale nie jestem pewien, czy pójdę z tobą jeszcze do pubu, szczególnie, jeśli nie będzie z nami Adama.

Cavanaugh wzruszył ramionami. Bez względu na to, co mówił Jarvis, on wiedział swoje. Do domu doszli, milcząc.

– I jak? – stary Cavanaugh był ciekaw wrażeń Jankesa.

– Ciekawe miejsce. Tylko dlaczego zamykają tak wcześnie?

– O widzisz! To jest nasza bolączka! A teraz spać, obaj!

Howell pierwszy poszedł do łazienki, więc też pierwszy wylądował w łóżku. W łazience długo stał przed lustrem, przyglądając się swojemu odbiciu. Patrzył na swoją twarz, szukając w niej choć minimalnego podobieństwa do kuzyna. Nic nie znalazł. Wszystko miał inne; oczy, usta – tamten miał pełne i często zaciśnięte, Howell wąskie i wiecznie rozchylone, nos, włosy... Rudawobrazowa czupryna Cavanaugha w ogóle nie kojarzyła się z komandoskim fryzem Jankesa... Jak to możliwe, że to był jego krewny?! Rozmyślał nad tym, co powiedział Jarvis. Nie naszły go żadne wątpliwości, ale zapaliło mu się ledwo zauważalne, żółte światelko, które, nie wiedzieć czemu, potwornie go drażniło. Coś, jakby przeczucie... Leżał w łóżku i ciągle myślał, sam nie wiedział nawet tak dokładnie, o czym, kiedy woda w łazience obok przestała szumieć i po kilku chwilach do pokoju wszedł Jarvis. Położył się na wyrku pod plakatem U2.

– Mądrzy się na tematy irlandzkie – szepnął Howell – a nawet nie wiedział, że U2 są z Irlandii.

– Ale za to teraz wszystko stało się dla mnie jasne.

– A mianowicie?

– Nie wiem, czy wiesz, bojowniku, ale oni są bardzo mocno przeciwni IRA. Teraz już przynajmniej wiem, dlaczego to ich tak interesuje... I co ty na to?

– Odwal się...

Howellowi nie podobala się ta uwaga. Usłyszał tylko cichy, jakby szyderczy, śmiech Jarvisa. „Jeden-dwa, ale ciągle na moją korzyść” – pomyślał.

Howella obudziło słońce, świecące mu w oczy. Usiadł na łóżku. Pod stopami poczuł zimną podłogę; to go nieco rozbudziło. Otworzył oczy. Jarvisa nie było w pokoju. Cavanaugh powoli wstał. Przez chwilę stał, lekko się chwiejąc i zastanawiając, co jest nie tak – coś było. Cisza.